

## Rozmyślania



## Kto posadzi drzewa?...

*W dziwnym świecie, dziwni ludzie mówią dziwne rzeczy. Już coraz trudniej, zagubionemu we wszechłażeniu człowiekowi, zorientować się, gdzie jest granica normalności. Tej samej, bez której nie można odzielić radości od smutku, kłamstwa od prawdy i pychy od skromności... Zresztą, gdzie tę ostatnią można dzisiaj znaleźć?*

### Andrzej Dębkowski

Pewnego dnia wychodząc rano po gazetę uzmysłowiłem sobie, jak bardzo nie lubię zimy. Początkowo wydawało mi się, że to z powodu nastroju, w jaki wpadłem poprzedniego wieczoru czytając o średniowiecznym chrześcijaństwie i o szkołach buddyzmu chińskiego. Ale nic bardziej mylnego. To śnieg, mróz, a do tego jeszcze ten „przeszywający” człowieka na wylot wiatr. W końcu kupiłem wspomnianą gazetę, a przy okazji jeszcze mleczko i bułeczkę, i wróciłem, czym prędzej, do domu. Pełen nadziei na zacząłem przeglądać kolejne strony dziennika. Strasznie dużo pisało się tego dnia o życiu niedoczesnym. To taka moda, szczególnie wtedy, kiedy tylko nadarza się ku temu okazja.

Nagle, w oparach porannej kawy (przepraszam: zielonej herbaty), usłyszałem w radiu rozmowę o znaczeniu chrześcijaństwa w życiu każdego człowieka – głównie o jego wyższości nad innymi religiami. Dziwna to była rozmowa, gdyż dowiedziałem się z niej, że nie wszyscy ludzie na świecie są równi wobec różnych bogów i tak musi być – jak stwierdził duchowny, bo to on był gościem programu. Rozmówca w sposób jednoznacznie irracjonalny tłumaczył „nieznosnemu dziennikarzowi” – jak go nazwał – wyższość religii chrześcijańskiej (ze wskazaniem na tę jedną, jedyłą, wybraną) nad innymi, głównie

nad buddyzmem. Tylko miłość chrześcijańska jest jedyną wartością ponadczasową, o którą warto zabiegać – ciągnął „filozof”. Wszystko inne jest niegodne chwili zastanowienia.

Więc okazało się, że *jam jest niegodzien...* i tak dalej... Jak to, chrześcijanin i czyta herezje buddyjskich mnichów oraz inne „bezeceństwa” niegodne „prawdziwego” chrześcijanina?

Wzburzyło się we mnie, choć jestem chrześcijaninem z dziada pradziada, ale takim nie-dewotem. A zatem powiedzmy sobie od razu, że buddyzmu nie można lekceważyć; to była bardzo piękna propozycja duchowa dla ludów Azji pięć stuleci przed przyjściem Chrystusa. Jednak nie sposób nie zauważyć, że buddyzm i chrześcijaństwo, choć tu i ówdzie podobne, pod wieloma względami różnią się zasadniczo. Buddyjska troska o cierpiących i chęć uwolnienia ich od cierpienia to odruch bliski chrześcijańskiemu sercu, ale nie czyni on jeszcze chrześcijanina. I nie może być inaczej, choćby tylko dlatego, że buddyzm nie uznaje istnienia wiecznego „ja”.



Czy zatem chrześcijańskie pojęcie miłości zastąpić można buddyjską litością? Paweł Lisiecki w jednym ze swoich esejów pisze: (...) *miłość chrześcijańska chociaż łączy się z uczuciem, to okazuje się i przejawia w posłuszeństwie i wykonywaniu prawa moralnego. Jest aktem duchowym, w istocie swej dostępnym jedynie bytom umysłowym, zdolnym znać i kochać to, co poznane jako dobre. Z samej istoty jest też aktem osobowym. Kieruje się albo ku osobie Boga, albo osobie bliźniego. Ku bytom, które są odrębne, samoistne i wolne.*

To wszystko prawda, tylko szkoda, że piętnaście lat później ludzie myślący inaczej są dla niego tak obcy mi, że trzeba ich za wszelką cenę zwalczać.

Miłość chrześcijańska poszukuje sensu cierpienia. Ważniejsze od ulżenia ich doczesnej doli jest dla niej nawrócenie błądzących i rozpoznanie wiecznego celu.

W odróżnieniu od niej buddyjskie współczucie natomiast zakłada równość wszelkich bytów w podatności na cierpienie. Dla niego każde usunięcie cierpienia jest czymś dobrym. Tak jak płomień powstaje po potarciu zapalki, tak litość powstaje wskutek dostrze-

żenia nędzy żywych stworzeń. Nie dzieli stworzenia na rozumne i nierozumne, ale przyjmuje, że cokolwiek żyje, godne jest współczucia. Litość dostrzega w człowieku to, co czyni go częścią przemijającego świata przyrody?



Zatem jaka jest różnica w tej kwestii pomiędzy tymi dwoma systemami filozoficznymi? Marcin Luter powiedział: *nawet gdybym wiedział, że jutro zginie świat, dziś jeszcze zasadziłbym nowe drzewo.* Podobnie Miłosz – w wierszu o końcu świata pisze o ogrodniku, podwiązyującym pomidory. Dla jednego końcem świata będzie odejście najbliższej osoby, dla drugiego utrata zdrowia. Rzadziej spotyka się ludzi, którzy w takiej sytuacji kładą się, żeby czekać na koniec. Takich jak Cervantes, który *Don Kichota* pisał po utracie ręki, jak wielka Sara Bernhard, która grała na scenie przed zachwyconą publicznością – poruszając się na drewnianej nodze. A Władysław Strzemiński, twórca unizmu w malarstwie, weteran I wojny światowej, człowiek bez ręki i nogi, który wykładał w łódzkiej Państwowej Szkole Sztuk Plastycznych, a gdy socrealizm nabrał rozpędu, wyrzucony z uczelni, zarabiał na życie jako dekorator wystaw?



Cień inscenizowanego końca świata pada na najbliższych. Siła niszcząca się rozprze-strzenia – i może już niebawem nie będzie komu sadzić nowych drzew. Więc po co wycinać te, które jeszcze pozostały. Niech one ukorzeniają się mocno, niech będą dla nas schronieniem przed takimi „filozofami”, jak ten z audycji radiowej, pewnego styczniowego poranka.